

Dane mi było doświadczyć, że wraz ze słabymi i grzesznymi ludźmi, których siły nigdy nie są wystarczające w obliczu zadań nieustannie na nich spadających, Bóg może czynić swoje dzieło.

Moje doświadczenie Kościoła

GERHARD LOHFINK

Doświadczyłem Kościoła na trzy różne sposoby. Gdy kartkuję moje dzienniki, przeżycia same dzielą się na trzy okresy. Pierwszy obejmuje lata 1934–1964, od najwcześniejszego dzieciństwa aż do zakończenia mojej pracy jako wikariusza. Było to 30 lat spokojnego życia w Kościele. Drugi okres trwa do roku 1986. W tym czasie na polecenie mojego ówczesnego biskupa ks. Wilhelma Kempfa podjąłem dalsze studia, a następnie pracowałem jako profesor Nowego Testamentu na Wydziale Teologii Katolickiej uniwersytetu w Tybindze. Także te 21 lat było latami przeżytych w Kościele. Jednak pojawił się tutaj nowy prąd: krytyka, która nieustannie odnosiła się do Kościoła, a szczególnie do tego, co nazywaliśmy wówczas „Kościołem urzędowym”. Od roku 1986 nauczyłem się patrzeć na Kościół nowymi oczyma.

Z upływem czasu, dzięki wielu spotkaniom z ludźmi, uświadomiłem sobie, że te trzy okresy zawierają w sobie coś, co wykracza poza moje własne życie. Podobne doświadczenia stały się także udziałem wielu osób, które również próbują je interpretować. Tylko dlatego postanowiłem o tym opowiedzieć. Muszę jednak od razu poczynić pewne zastrzeżenie. Tego, co przedstawię, nie da się uogólnić we wszystkich wymiarach. Wy-



chowywałem się w Niemczech. W innych częściach Kościoła powszechnego można było w tych samych latach mieć odmienne doświadczenia. To, co chciałbym tutaj opowiedzieć, nie jest nawet reprezentatywne dla całych Niemiec.

Do roku 1959, oprócz przerw wywołanych wojną, mieszkalem we Frankfurcie nad Menem. Życie Kościoła było tam bardzo bogate, można w nim było odnaleźć szacunek dla innych wyznań i otwartość na nie, kler zaś świetnie znał teologię. Moja rodzina mieszkała w robotniczej parafii pod wezwaniem św. Gallusa, w zachodniej części miasta. Nasz proboszcz był człowiekiem dobrotliwym i głęboko wierzącym, duszpasterzem w całym tego słowa znaczeniu, który jeszcze przed soborem zebrał wokół siebie wielu pomocników i współpracowników. Była to szczególna sytuacja Kościoła w wielkim mieście i być może w innych częściach Niemiec wyglądało to inaczej. Ja sam mogę jedynie wycinkowo przedstawić moje doświadczenia z Kościołem.

* * *

Do parafii pod wezwaniem św. Gallusa w latach poprzedzających II wojnę światową należało 12 tysięcy katolików. Wojna zmieniła tę sytuację.

Po 1945 roku ich liczba wynosiła około 8 tysięcy. Większość parafian już przed wojeną była oddalona od Kościoła. Niemniej jednak w neoromańskim domu Bożym, a także w jego sąsiedztwie toczyło się życie. W niedzielę w czasie wszystkich trzech mszy świętych kościół był wypełniony do ostatniego miejsca. Także w dni powszednie wielu wiernych przychodziło na mszę. Obok proboszcza w parafii było dwóch młodych wikariuszy, dwie wspólnoty siostr zakonnych. Przy parafii działały: ambulatorium, dom spokojnej starości i dom dla upadłych dziewcząt (jak to wówczas nazywano), przedszkole, duży chór kościelny, kilka związków kościelnych oraz liczne grupy młodzieżowe, które, jak w całych Niemczech, były zakazane przez narodowych socjalistów bądź wolno im było działać jedynie na terenie Kościoła.

Mimo że w tej wielkomińskiej parafii osoby, które w swym życiu kierowały się wymogami Kościoła, stanowiły mniejszość, jednak istniało tam coś na kształt środowiska kościelnego. Ujawniało się to na przykład w czasie wielkiej procesji w uroczystość Bożego Ciała, w trakcie uroczystego rozpoczęcia nabożeństw majowych lub w momencie, gdy w wypadku samochodowym zginął szanowany i lubiany proboszcz. Wiść o jego śmierci rozniosła się lotem błyskawicy i w krótkim czasie kościół wypełnił się modlącymi się wiernymi.

Do dzisiaj czuję atmosferę niektórych nabożeństw: blaknące w zmierzchu kolory witraży, kwiaty, kadzidło, liczni ministranci, mocny śpiew gminy, pewność, że w domu Bożym można się czuć bezpiecznie. Czy wszystko to jest jedynie wspomnieniem szczęśliwego dzieciństwa? Musi to być coś więcej. Dla mnie parafia, a wraz z nią Kościół powszechny, o którym ciągle nam mówiono, były czymś zasadniczym. Dla rodziców — jako dziecko odczuwałem to w sposób całkowicie bezpośredni — wiara była tym, co najważniejsze. Właśnie z tego powodu Kościół był jak ojczyzna i dlatego był piękny.

Życie parafialne nie toczyło się jednakże jedynie wokół kościoła. Nasza rodzina mieszkała na osiedlu kolejarzy oddzielonym od głównej części parafii rozległym terenem stacji przeznaczony dla pociągów towarowych. Z tego powodu dla wiernych z osiedla odprawiano w niedzielę odrębną mszę w sali gimnastycznej szkoły publicznej. Aby można było odprawić nabożeństwo, trzeba było najpierw wynieść wiele przyrządów gimnastycz-

nych do salki obok, potem ustawić drewniany ołtarz i krzesła. W czasie tych przygotowań kobiety ozdabiały salę gimnastyczną kwiatami i wieszaly zasłony we właściwych kolorach liturgicznych. To wszystko była prowizorka, ale właśnie dlatego zbierała ona wiernych wokół ołtarza — przez wiele lat, na długo przed soborem. Co sobotę wcale nie tak mało osób zarówno dorosłych, jak i młodych, mówiło: „Chodźcie, idziemy ustawić”. Chodziło o przygotowanie sali gimnastycznej do mszy. To staranne, zewnętrzne przygotowanie nabożeństwa budowało również gminę.

W czasie wojennych bombardowań nasze osiedle się spaliło, a wraz z nim dom szeregowy, w którym mieszkaliśmy. Gdy w 1945 roku wojna się skończyła, znaleźliśmy nowe mieszkanie, blisko starego kościoła parafialnego, który również został zniszczony w czasie nalotów i na którego gruzach zbudowano prowizoryczną świątynię. W latach powojennych udało mi się jeszcze uczestniczyć w ostatnich działaniach katolickiego ruchu młodzieżowego, który w okresie międzywojennym zyskał w Niemczech nadzwyczajną siłę. Ruch ten doprowadził wielu młodych chrześcijan do żywej wiary i mocniej związał ich — szczególnie dzięki liturgii — z Kościołem. Odwołując się do własnych doświadczeń związanych z tym młodzieżowym przełomem w Kościele, Romano Guardini pisał w roku 1920¹:

Rozpoczął się proces religijny o nieprzewidywalnym wymiarze: w duszach budzi się Kościół. Trzeba to rozumieć prawidłowo. Kościół był obecny zawsze i w każdej epoce oznaczał dla wierzącego coś ważnego. Człowiek wierzący przyjmował naukę Kościoła i podążał za jego wskazaniem; potęga Kościoła dawała mu oparcie i pewność. Gdy jednak rozwój indywidualizmu zapoczątkowany u schyłku średniowiecza osiągnął określony poziom, wówczas Kościół przestał w oczach wiernych stanowić treść prawdziwego życia religijnego. Wierzący żył oczywiście w Kościele i poddawał się jego prowadzeniu, jednak w coraz mniejszym stopniu żył Kościołem. (...)

Jednostka żyła dla siebie. Dla wielu: „Ja i mój Stwórca” stanowiło jedyną możliwą formułę. Wspólnota nie była czymś pierwotnym, lecz stała dopiero na drugim miejscu. Nie istniała od samego początku, lecz była obmyślona, chciana, wypracowana. Ktoś udał się do innych, zajął się nimi, dopuścił ich do siebie. Jednakże nie znajdował się pierwotnie pomiędzy nimi, nie był z nimi w żywej jedności. To nie była wspólnota, lecz organizacja taka sama w obszarze religijnym, jak

w każdym innym miejscu. W jak małym stopniu w czasie nabożeństwa wierni czuli się wspólnotą! Jak bardzo ich nabożeństwa były wewnętrznie podzielone! W jak niewielkim stopniu jednostka świadoma była istnienia wspólnoty parafialnej! Jak bardzo indywidualistycznie traktowano sakrament wspólnoty: „komunię”!

Guardini opisuje następnie, że tam, „gdzie znajdują się źródła nowej epoki, w ruchu młodzieżowym”, „na nowo ożywa budzący bojaźń fakt, »Kościół«”. Na koniec stwierdza²:

Nie powinno to oddziaływać jedynie w książkach i przemówieniach, lecz tam, gdzie Kościół dany jest jednostce: w parafii. Jeśli ów proces „ruchu kościelnego” będzie zmierzał do przodu, wówczas będzie on musiał doprowadzić do odnowy świadomości wspólnoty. W taki właśnie sposób należy doświadczać Kościoła. To, że pojedynczy wierny będzie żyć wraz z nim, czuć się zań współodpowiedzialny, pracować na jego rzecz, stanowi kryterium jego prawdziwego, a nie jedynie głoszonego, bycia w Kościele [*Kirchlichkeit*].

Czy proroctwo Romano Guardiniego się spełniło? Już w roku 1947 Ida Friederike Görres pisała³:

Istnieje „budzenie się Kościoła w duszach”. Ale istnieje również „umieranie Kościoła w duszach”. Doświadczamy tego wokół nas, między nami, rzadko jako nagłe załamanie spowodowane uderzeniem pioruna (...), częściej jako powolne, pelzające, niezauważalne umieranie spowodowane wyziębieniem i zubożeniem, duchowym niedożywieniem i krnąbrnością. Będzie się to ciągnąć tak długo, aż Kościół stanie naprzeciw ludzi jako coś zewnętrznego i obcego, wywierając presję, formułując żądania, stawiając wyzwania. Będzie jedynie organizacją, przymusem, instytucją władzy.

To także były słowa prorocze. Wprawdzie w roku 1945 ruch młodzieżowy raz jeszcze odżył — odbywały się msze wspólnotowe, dawano świadectwo, organizowano wycieczki, obozy namiotowe, teatr amatorski, wieczorki w domu, spotkania liderów grup, cotygodniowe wieczorne modlitwy młodzieżowe w jednej z bocznych kaplic katedry. Na kazaniach dla młodzieży w dużym kościele w śródmieściu Frankfurtu gromadziły się setki młodych ludzi.

❑ Nie trwało to jednak długo. W latach 60. ruch młodzieżowy bardzo szybko został zmieciony z powierzchni ziemi. Gdy dzisiaj czytam ówczesne pieśni i teksty kazań, wcale się temu nie dziwię. Posługiwano się wówczas stylizowanym językiem, który w przełomowych chwilach okazywał się nieprecyzyjny. Mówiono o „królestwie”⁴ i miano na myśli królestwo Chrystusa, ale w dziwny sposób w to królestwo wmieszane były zawsze Niemcy i naród niemiecki. Mówiono o budowaniu królestwa Chrystusa. Ale gdzie i w jaki sposób miało się to wydarzyć? Każdy miał świadczyć o Chrystusie w swojej szkole czy miejscu pracy, ale im bardziej zsekularyzowane było społeczeństwo, tym bardziej stawało się to trudne. To, że ruch młodzieżowy tak szybko się załamał, ukazuje, iż nie miał solidnych fundamentów, na których można by praktykować wielkie słowa o „nowej epoce”, „przymierzu”, „królestwie”, „wychowywaniu siebie”, „kształtowaniu życia w Chrystusie” w sposób przekraczający młodzieżowy zachwyt oraz w realnej relacji z innymi ludźmi.

❑ Z perspektywy czasu widzę słabości nie tylko ruchu młodzieżowego, ale i katolickiego środowiska, w którym żyłem jeszcze jako dziecko i nastolatek. W tamtych czasach działo się z pewnością wiele dobrego. Zachodziło nawet coś takiego jak „budzenie się Kościoła w duszach”. A jednak w życiu Kościoła były przerażające braki. Trudno winić za ten stan Kościół, ale dzisiaj widać ten problem jasno.

❑ Kościół nie zapobiegł obydwu wojnom światowym. I nie był w stanie tego zrobić. Wybuchły one niezależnie od niego. Dzisiaj do refleksji skłania nas coś, co wykracza poza sam fakt obydwu wojen: Kościół jest Ciałem Chrystusa ponad wszelkimi granicami, ludem Bożym między narodami. To, że w roku 1914 chrześcijanie szli na wojnę przeciw chrześcijanom, ochrzczeni przeciw ochrzczonej, wcale nie było postrzegane jako wołające o pomstę do nieba zniszczenie tego, czym Kościół jest ze swej istoty. To ów stan ducha był właśnie prawdziwą katastrofą. A to, że wojna Hitlera była wojną przestępczą, wobec której od samego początku powinni się byli zdystansować chrześcijanie w Niemczech, nie stanowiło wówczas większego problemu, który szczególnie poruszałby sumienia wielu.

❑ Nie pytam, w jakim stopniu taka odmowa wzięcia udziału w wojnie w ogóle była możliwa i jaka byłaby jej cena. Chodzi mi o to, że uczestnictwo w obydwu wojnach przez większość ochrzczonej w Niemczech nie było

nawet pojmowane jako coś problematycznego dla sumienia chrześcijanina. To samo dotyczy paraliżu Kościoła, gdy palily się synagogi, a chrześcijanie w Niemczech powinni byli się wstawić za swoimi żydowskimi braćmi. Jako dziecko widziałem mężczyzn i kobiety, których zmuszano do przysycia do odzieży żółtej gwiazdy żydowskiej. Pewnego dnia zniknęli.

Nie przeczę, Kościoły w Niemczech uczestniczyły w oporze wobec działań Hitlera. Również jeden z naszych wikarych z parafii św. Gallusa został z powodu swoich kazań zamknięty w więzieniu przez gestapo. Sprzeciw ten miał swoją przyczynę w rosnącym ograniczaniu życia Kościoła, w likwidacji instytucji kościelnych bądź też w zabijaniu osób chorych psychicznie. Jedynie w niewielu przypadkach był on wywołany kwestią samej wojny czy też prześladowaniami Żydów.

Wszystko to pokazuje, że Kościół, który w pierwszej połowie XX wieku rozkwitał w Niemczech, Kościół z jego licznymi powołaniami do kapłaństwa i życia zakonnego, wieloma związkami i instytucjami, jego ruchem liturgicznym, masowym uczestnictwem we mszy świętej i chrześcijańskim środowiskiem, które jeszcze istniało bądź właśnie się rozwijało, nie we wszystkich sferach opierał się na twardym gruncie. Czasem grunt ten był bardzo grząski, pełen dołów, w każdej chwili mógł się zapaść. Nie tylko obyczajowość stała się pusta, co w drugiej połowie XX wieku doprowadziło do zaniku wiary w wielu rodzinach chrześcijańskich. To samo działo się także tam, gdzie życie Kościoła kwitło bądź rozkwitało na nowo. Właśnie z tego powodu o tym opowiedziałem.

* * *

W roku 1968 studenci w USA i Europie Zachodniej zaczęli stawiać społeczeństwu radykalne pytania. Od tego momentu zaczęto je również stawiać Kościołowi. Sam bardzo dobrze pamiętam, jak owo krytyczne kwestionowanie wszystkiego dopadło mnie w czasie, gdy pracowałem nad doktoratem. Nie dlatego, że wcześniej nic nie wiedziałem o winie Kościoła i niedolach jego historii. To wszystko umieściłem w mojej głowie w dziale apologetyki — obrony chrześcijaństwa. W tym jednak momencie ja sam i wiele innych osób było niezadowolonych z konkretnego kształtu Kościoła. Wszystko należało zmienić — od Watykanu po najmniejszą parafię.

— Nie chcieliśmy już kościelnej pompy, niezrozumiałych rytuałów, zużytych pieśni kościelnych, kurialnej biurokracji, odrębnego stroju dla kleru. Chcieliśmy ludzkiego języka w czasie nabożeństwa, nowych pieśni, modlitw mówiących o naszym rzeczywistym życiu, przewodniczących nabożeństw, którzy mówiliby jak normalni ludzie i umożliwiali komunikację. Tęskniliśmy za biskupami, którzy nie mieszkaliby już w pałacach, ale wynajmowali mieszkania, oraz za chrześcijanami, którzy żyliby w taki sposób, że dla każdego byliby rozpoznawalni. Chrześcijanie żyliby „pośrodku świata”, początkowo w sposób niedostrzegalny, potem jednak coraz bardziej widoczny — to był nasz ukryty ideał.

— II sobór watykański w niewielkim stopniu poruszył mnie i wielu innych w Niemczech. Oczywiście cieszyliśmy się z obrazów pokazywanych w telewizji, z komentarzy jezuita Mario von Galli i z wystąpień tych kardynałów, którzy od samego początku nadali soborowi inny kierunek. Z punktu widzenia teologii to, co mówiły dokumenty soborowe, było mi już od dawna znane — tak przynajmniej myślałem. Dość długo trwało, zanim zdałem sobie sprawę, jakie było prawdziwe znaczenie soboru na tle całej historii Kościoła i jakie bogactwo myśli zostało podczas niego sformułowane.

— W latach 60. prenumerowałem amerykański tygodnik „The National Catholic Reporter”. Pismo to podobało mi się, gdyż wśród niemieckich gazet kościelnych nie było podobnego. Piętnowano tam niesprawiedliwość społeczną w Ameryce Południowej, otwarcie krytykowano północnoamerykańskich biskupów, bacznie obserwowano trendy w społeczeństwie. Krytyka Kościoła gościła wówczas we wszystkich zakątkach naszej świadomości.

— Niestety, ta krytyka związana była z dość naiwną ideologią kozła ofiarnego: biskupi i kuria rzymska winni byli temu, że Kościół w życiu publicznym spotykał się z rosnącą dezaprobatą, gdyż to oni nie dopuszczali do jakiegokolwiek sensownej reformy. Gdyby Kościół miał więcej biskupów skłonnych do reform, wówczas odmłodziłby się i zyskał na atrakcyjności. To ukryte niezadowolenie ujawniło się w pełni, gdy papież Paweł VI w roku 1968 opublikował encyklikę *Humanae vitae*. W małym kościółku w moim mieście uniwersyteckim przez trzy tygodnie głośno głosiłem kazania przeciwko tej encyklice i napisałem gniewny list w tej sprawie do kardynała Döpfnera w Monachium.

W Tybindze powoli i początkowo w sposób nieuświadomiony doszło do zmiany perspektywy. Nadal jeszcze w moich wykładach i publikacjach ostrze krytyki kierowałem przede wszystkim przeciwko bojaźliwemu uporowi w Kościele, a nie przeciwko głupstwu drugiej strony. Jednak stopniowo coraz mocniej uświadamiałem sobie, jak wątpliwa jest lista zmian, którą propagowali wówczas niektórzy liderzy, a potem coraz więcej katolików w Niemczech: zniesienie celibatu, kapłaństwo kobiet, możliwość rozwodu kościelnego, demokratyczny wybór biskupów, wspólnotę eucharystyczną, bardziej współczesne wyznanie wiary.

Czy rzeczywiście doszłoby do odnowy Kościoła, gdyby do tego wszystkiego dopuszczono? Coraz mniej w to wierzyłem. Odnowa wymaga nawrócenia, a ta natarczywie prezentowana lista niewiele miała z nawróceniem wspólnego. Istniały inne Kościoły, które od stuleci bądź dziesięcioleci z tym wszystkim eksperymentowały. Wiara nie była tam większa, gminy nie stały się bardziej żywotne. Przeróżająca utrata wiary w Niemczech — w kręgach osób wykształconych już od czasów oświecenia, a wśród szerokich mas od połowy XX wieku — musiała mieć inne przyczyny. Ostatecznie chodziło o pytanie o Boga.

Widać to wyraźnie w licznych świadectwach XX wieku. Godna uwagi jest autobiograficzna relacja autorstwa Vilmy Sturm zatytułowana *Bosa na asfalcie* (*Barfuß auf Asphalt*). Stała się dla mnie ważna, gdyż odzwierciedla wiele z tego, co sam dostrzegałem w moim otoczeniu. Dziennikarka Vilma Sturm staje się przykładem kolejnych faz niemieckiego katolicyzmu. Wyrosła w katolickiej Nadrenii, jako nastolatka była pod wpływem *Naśladowania Chrystusa* Tomasza a Kempis, w zamku Rothenfels doświadczyła również tego, czym był ruch młodzieżowy. Później z dużym zaangażowaniem zwróciła się w kierunku tak zwanego „katolicyzmu lewicowego” i wraz z Dorothee Sölle i innymi przez trzy lata organizowała „Polityczną kompletę” w kolońskim kościele antonitów. Na starość utraciła wiarę. Opis tego procesu znajdujemy w przynębiającym zakończeniu jej biografii⁵. Na koniec mieszkała w Kolonii i jeszcze przez jakiś czas chodziła tam do kościoła pod wezwaniem św. Agnieszki:

W kościele św. Agnieszki czułam się jak u siebie, znalazłam tam spokój, przynajmniej na chwilę. Potem się to skończyło. Odplynęłam, jak

odplywa łódź bez żagla, bez wiosel, pchana jedynie prądem. Ten prąd to byli ci wokół mnie, którzy byli mi drodzy: córka, która nie zawarła ślubu kościelnego, wnuki, które nie zostały ochrzczone; ona i jej mąż, i jego matka, która dwadzieścia lat wcześniej przeszła na katolicyzm — oni wszyscy wystąpili z Kościoła. Również wielu przyjaciół nie miało już po prostu ochoty na bycie w Kościele, również brat ze swoją rodziną. Często była to czysta wrogość, częściej jednak obojętność i zniechęcenie. (...)

Z pewnością nie było to związane z tym czy innym niepowodzeniem Kościoła; ta skłaniająca do oporu instytucja była nam już od dawna raczej obojętna, za wyjątkiem papieża Jana. Dlaczego jednak z czasem odwróciliśmy się również od gminy i nabożeństwa, tym samym również od Biblii i modlitwy, a wreszcie od jakiegokolwiek dającej się wyrazić pobożności? Tego nie wiem. Znajduję się w samym środku procesu odchodzenia, który wydarza się we mnie bez mojej woli. Odplywam coraz dalej, w jakąś pustkę, w której nie ma już nikogo, nawet echa, gdy próbuję wołać. Prawie już nie widać brzegu, z którego przybyłam, a słowa, imiona, które posiadałam niegdyś, by nazywać świętych, rozwiały się we mgle.

Słowa w Kościele nie są już moimi słowami. Nie znam już w ogóle żadnych słów, dzięki którym mogłabym wspólnie z innymi brać udział w nabożeństwie (...). Już pierwsze zdanie *Ojciec nasz* czy też *Credo* paraliżuje mój język. Mam nazywać „Ojcem” tę przerażającą tajemnicę kryjącą się za biegiem świata? Nigdy i nigdzie nie można Go znaleźć (bo przecież istnieje poza czasem i przestrzenią) — z pewnością nie w górze, bo gdzie jest góra, a gdzie dół, jeśli znajdujemy się na wirującej kuli? Nie daje się już ująć w żadne pojęcia, żadne słowa, żadne pozdrowienie. Mogę najwyżej powiedzieć: mam nadzieję, że jest — tylko tyle.

Mam nadzieję, że jest, że będzie w godzinie mojej śmierci i pozwoli mi pozostać w owym „nigdy i nigdzie”, które zamieszkuje. Równocześnie drzę przed tym, że będzie inaczej, że nie pozostanie mi nic innego jak trumna i grób, i rozkład. Ale drzę jedynie w ciemności, nocą, gdy nie mogę spać. Za dnia jestem jak wszyscy, którzy żyją, jak gdyby nie było śmierci.

Relacja ta jest jak najbardziej reprezentatywna dla sytuacji, która ma miejsce w ostatnich dziesięcioleciach w Niemczech i innych krajach europejskich. W wielu rodzinach wiara nie dociera już do następnego po-

kolenia. Nie wszyscy potrafią nazwać to zjawisko tak precyzyjnie jak Vilma Sturm. U wielu wydarza się to bardziej powierzchownie i raczej niezauważenie. Ale się wydarza. Jest jak niepowstrzymana erozja.

Decydujące dla przytoczonej relacji jest zdanie: „Nigdy i nigdzie nie można Go znaleźć”. Gdy Biblia mówi, że Bóg mieszka „w niedostępnej światłości” (1 Tm 6,16), wydaje się, iż przekazuje coś podobnego. Ostatecznie tekst stwierdza jednakże, że ten ukryty Bóg ujawnił się aż po swoją najgłębszą istotę i ostatecznie związał się ze światem w swoim ludzie i w Jezusie Chrystusie. Główny kierunek dziejów zbawienia polega właśnie na tym, że Boga można znaleźć w świecie, że w tym świecie zajmuje On takie miejsce, w którym Jego wola może zostać rozpoznana i w którym można wezwać Jego imię. W pewnym sensie Vilma Sturm wszystko to wiedziała, ale to miejsce w jej odczuciu odeszło w cień i dlatego utraciła Boga.

To, że Kościół był coraz mniej rozpoznawalny jako miejsce cielesnej bliskości Boga, a dla wielu wydawał się wręcz odstręczający, nieodmiennie zajmowało mnie w czasie moich studiów podyplomowych. Najpierw uważałem, że dawne wypowiedzi religijne powinniśmy przetłumaczyć na potrzeby „dzisiaj” i znaleźć adekwatny język dla chrześcijan XX wieku. I tak obok mojej pracy naukowej wiele jeździłem, wygłaszałem kazania i wykłady, mówiłem o obrazie Boga w Biblii, o opowiadaniach paschalnych w Ewangeliach, o wszystkim tym, co „dzieje się po śmierci”, o tym, „co fascynuje mnie w Jezusie”, o przypowieściach i cudach Jezusa, o formach i gatunkach biblijnych. Trudno było mi wręcz sprostać zapotrzebowaniu.

Czy to wszystko miało jednak jakiś sens? W jakim stopniu pomocne jest tłumaczenie, przenoszenie określonych treści⁶, jeśli nie istnieje brzeg, przy którym można by zacumować łódź? Po co zmieniać stare słowa na nowe, jeśli nie ma już gleby, na którą można by to słowo wysiać? Najbardziej dopracowane wykłady i odczyty trafiają w pustkę, jeśli nie będzie miejsca, w którym wielkie słowa teologii praktykowane są w realnym życiu i w którym wspólnie przeżywana wiara podtrzymuje teologię. W dziejach Kościoła nigdy nie było jeszcze tak dobrze rozwiniętej katechezy i tak dobrze zorganizowanego kształcenia dorosłych, jak ma to miejsce właśnie dzisiaj w Niemczech. Niemniej jednak wykorzenienie chrześcijaństwa narasta.

Temat mojej pracy doktorskiej brzmiał: *Wniebowstąpienia Jezusa w pismach Łukaszkowych*. Chodziło w niej nadal jeszcze o prawidłowe „tlu-

maczenie”. Później jednak coraz bardziej zaczynałem szukać tego, czym jest Kościół. Nieprzypadkowo moją rozprawę habilitacyjną napisałem o „zebraniu Izraela” jako wiodącej myśli w eklezjologii św. Łukasza. Temat Kościoła w Nowym Testamencie z czasem coraz bardziej mnie zajmował i to nie tylko teoretycznie.

Przeżycia innych były podobne. Tęskniliśmy za Kościołem, w którym można by konkretnie doświadczyć wspólnoty wiary. Zresztą stanowiło to wcześniej główną myśl katolickiego ruchu młodzieżowego. Teraz ujawniła się ona na nowo, chociaż w odmiennych warunkach. Od lat 70. chrześcijanie zaczęli się gromadzić w Niemczech w wielu miejscach, chcąc wspólnie żyć wiarą. Często nazywali siebie po prostu „kręgami rodzinnymi” albo, gdy w grę wchodziła terminologia socjologiczna, „wspólnotą bazową”. Tęsknota za żywym nabożeństwem, w którym uczestniczyliby wszyscy, odgrywała przy tym wielką rolę; tak samo rzecz się miała z troską o wiarę dzieci w świecie coraz bardziej wyzbytym wiary.

Większość członków takich grup chciała uciec od wiary prywatnej, od nabożeństw, w których czasie nie zna się sąsiada z ławki kościelnej i nigdy nie będzie się z nim miało nic wspólnego. Chcieli również uciec od kształtu życia Kościoła zbyt mocno opartego na instytucjach. Dobrze pamiętam, jak właśnie w takiej grupie w Rottenburgu, do której dołączyłem pełen oczekiwań, umawialiśmy się, że co roku odbędą się dwa spotkania: w tym celu potrzebowaliśmy jednej osoby, która zwołałaby resztę. Wszystko inne miało być jednak zupełnie spontaniczne i miało wyrastać z samej grupy.

Napisałem wówczas książkę *Wie hat Jesus Gemeinde gewollt? (Jakiej gminy chciał Jezus?)*. Moim celem było ukazanie z perspektywy Nowego Testamentu, że wiara nakierowana jest na społeczność (*Gemeinschaft*), i to taką społeczność, która ma jasne kontury odróżniające ją od reszty społeczeństwa (*Gesellschaft*). Chodziło mi o przesłanie tekstów nowotestamentowych, o postać społeczną wiary chrześcijańskiej, ale sama książka miała być przede wszystkim rozumiana jako opis procesu przejścia od społeczności (*Gemeinschaft*) do gminy (*Gemeinde*) — i to w rodzaju *direttissima*, procesu łatwego w realizacji i na dodatek uprawomocnionego przez samego Jezusa.

Dopiero później, na podstawie innych doświadczeń, uświadomiłem sobie, że droga do „gminy” tędy nie prowadzi. Jezus musiał umrzeć, żeby

z Jego uczniów powstał Kościół. Bez Jego śmierci Dwunastu niczego by nie zrozumiało i dalej by się klócili. W wersji Łukasza spierali się jeszcze w czasie ostatniej wieczerzy. W tym właśnie kontekście należy podkreślić, że Kościół od najdawniejszych czasów tam, gdzie gromadził się jako gmina, chciał mieć w swoim centrum szczątki świętych i męczenników. Niezależnie od późniejszych nadużyć kultu relikwii, kult ten przez wszystkie stulecia odzwierciedlał wiedzę Kościoła o tym, że gmina nie jest możliwa bez ludzi, którzy oddali całe swoje życie.

W takim znaczeniu gmina jest czymś bardzo niebezpiecznym. Tam, gdzie istnieje, tam żyje śmiercią i zmartwychwstaniem Jezusa albo w ogóle jej nie ma. Tam, gdzie istnieje, ma udział w wielkiej historii, w której Bóg prowadzi swój lud. Dlatego też nie można gminy stworzyć samemu, lecz musi być stworzona przez Boga. Stąd też tak wielu rozczarowanych, którzy zebrali się, by utworzyć coś nowego, co chcieli zrobić sami — zwykle ze względu na własne potrzeby, i którym to coś nowego rozpadło się w rękach.

Być może należałbym do tych rozczarowanych, gdybym w roku 1982 dzięki znajomości z egzegetą Nowego Testamentu Rudolfem Peschem oraz dzięki relacjom mojego brata Norberta nie spotkał Gminy Zintegrowanej. Stanowiła ona odpowiedź na wiele pytań dotyczących odnowy Kościoła, które od dawna mnie nurtowały. Po okresie wzajemnego poznawania się w roku 1986 zrezygnowałem z profesury w Tybindze i za zgodą mojego biskupa przeprowadziłem się do Monachium. Moich starych rodziców zabrałem ze sobą.

* * *

Chciałem opowiedzieć o moich doświadczeniach z Kościołem. Na koniec znalazłem to, o czym mówi tak wiele tekstów biblijnych i za czym sam od dawna tęskniłem. W tym miejscu powinienem to opisać i przedstawić, jak wygląda życie w Gminie Zintegrowanej. Nie wiem jednak, jak miałbym to zrobić. Trudno jest bowiem opisywać kolory. I jak wyjaśnić, czym jest róża, posługując się tylko słowami? Różę trzeba zobaczyć.

W pierwszym rozdziale Ewangelii wg św. Jana (1,35–51) znajduje się dziwna scena. Jezus przechodzi obok Jana Chrzciciela i dwóch jego

uczniów. Jan wskazuje na Jezusa i mówi „Oto Baranek Boży!”. Uczniowie Jana idą wówczas za Jezusem. Jezus odwraca się i pyta ich: „Czego szukacie?”. Oni nie odpowiadają Mu pytaniem: „Chcielibyśmy wiedzieć, kim tak naprawdę jesteś, jaka jest twoja rola, jak rozumiesz siebie samego i za czym się opowiadasz?”. Takich pytań nie stawiają. Pytają jedynie: „Rabbi, gdzie mieszkasz?”. A Jezus odpowiada im:

Chodźcie zobaczyć!

Takie wezwanie oznacza, że jeśli Bóg działa wobec swojego ludu, nie można o tym jedynie mówić. Trzeba wyruszyć w drogę. Obydwaj uczniowie tak zrobili: „Poszli więc, zobaczyli, gdzie mieszka, i tego dnia pozostali u Niego”. Z opowiadania nie dowiadujemy się, co uczniowie rzeczywiście zobaczyli u Jezusa. Nie ma o tym mowy. Ale wiemy, że to właśnie zmieniło ich życie. Następnego dnia jeden z nich, Andrzej, mówi do swojego brata Szymona: „Znaleźliśmy Mesjasza”.

Kilka wersetów dalej na nowo rozbrzmiewają słowa „Chodźcie zobaczyć!”. Teraz nie mówi ich już Jezus, lecz Filip do Natanaela. Przepelniony radością Filip opowiada Natanaelowi: „Spotkaliśmy Tego, o którym pisał w Prawie Mojżesz i Prorocy, Jezusa, syna Józefa z Nazaretu”. Na sceptyczne pytanie: „Czy może być co dobrego z Nazaretu?”, Filip odpowiada:

Chodź i zobacz!

Oznacza to jednakże, że powyższe wezwanie nie jest wyłącznie przywilejem Mesjasza. Wezwanie: „Chodź i zobacz!” może być kontynuowane w Kościele, a nawet kontynuowane być musi. II sobór watykański nazywa Kościół „ludem mesjańskim”⁷. Znaki Mesjasza nie ograniczają się zatem do Jezusa, lecz kontynuowane są w Kościele, ciągle się ujawniają i chcą być oglądane. Nie może być tak, że teologowie będą wyłącznie mówić, iż wcześniejsi teologowie mówili, że Bóg niegdyś przemówił. Z tego powodu mogę w tym miejscu powiedzieć tylko jedno:

Dane mi było, od kiedy dołączyłem do Gminy Zintegrowanej i jej Społeczności Kapłanów, bez własnej zasługi i jako ten, który przyszedł późno, doświadczyć na nowo piękna Kościoła: bogactwa i zbawczej mocy

sakramentów, drogocенności jego tradycji, odpowiadającego sprawie, a przez to i ludziom, planu budowy gmin Kościoła, jego międzynarodowości, jego pochodzenia z wiedzy Izraela o rozróżnianiu, jego społecznej postaci i związku ze światem.

Dane mi było doświadczyć, że środowisko chrześcijańskie⁸, które w dzieciństwie uratowało moją wiarę i dało mi rodzaj ojczyzny, może istnieć także dzisiaj — teraz oczywiście w zupełnie innej formie: w sposób o wiele bardziej światowy, wyodrębniony i oświecony, a właśnie dzięki temu w sposób o wiele silniejszy i bardziej nośny.

Dane mi było wreszcie doświadczyć i tego, że wraz ze słabymi i grzesznymi ludźmi, których siły nigdy nie są wystarczające w obliczu zadań nieustannie na nich spadających, Bóg może czynić swoje dzieło. Za to Go błogosławie.

przel. Eliza Pieciul

Tekst pochodzi z książki *Czy Bóg potrzebuje Kościoła? O teologii ludu Bożego*, która niabawem ukaże się nakładem Wydawnictwa „W drodze”.

¹ R. Guardini, *Das Erwachen der Kirche in den Seelen*, w: *Hochland* 19/1922, s. 257–267, tutaj s. 257 i 259. ² Tamże, s. 263 i 265. ³ I. F. Görres, *Die leibhaftige Kirche. Gespräch unter Laien*, Einsiedeln 1994/1950, s. 7. I. F. Görres cytuje w tym miejscu jeden ze swoich wcześniejszych artykułów z roku 1947. ⁴ Niemieckie słowo *Reich* może być tłumaczone zarówno jako „królestwo”, jak i jako *Rzesza* (przyp. tłum.). ⁵ V. Sturm, *Barfuß auf Asphalt. Ein unordentlicher Lebenslauf*, München 1981, s. 327n. ⁶ Gra słów: niemieckie słowo *übersetzen* oznacza zarówno „przeprowadzić się na drugi brzeg”, jak i „tłumaczyć”, „przekładać na inny język” (przyp. tłum.). ⁷ *Vaticanum Secundum, Lumen Gentium* (II 9). ⁸ Środowisko [niem. *Milieu*] rozumiane jest tutaj jako forma społeczna, jako świat życia, którego potrzebuje wiara, by mogła być w ogóle wcielana w życie. Ta forma społeczna nie stanowi oczywiście wtórnego dodatku do wiary – np. w sytuacji, gdy całe społeczeństwo jest pogańskie lub zsekularyzowane – lecz wiara jest ze swej istoty *communio*, która pragnie się wcieleć jako forma życiowa. „Środowisko” nie oznacza tutaj zatem „warownej twierdzy” czy też „schronienia”.

GERHARD LOHFINK ur. 1934, ksiądz, profesor, wykładał teologię Nowego Testamentu, od 1982 roku członek Gminy Zintegrowanej.